

PLOMYK

TYGODNIK DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

ROK 20 ♦ TOM 1 ♦ NR. 14

WARSZAWA, 2 GRUDNIA 1935 ROKU



Plomynicki



ŚMIERĆ W PUSTYNI

Uśniętej palmy liść
nad własnym usnął cieniem...
Tak ciężko, ciężko iść
przez piasek i kamienie...

W upale umarł wiatr,
wciąż duszniej jest, wciąż ciszej.
W gorączce chory świat
ostatniem tchnieniem dyszy.

Wczoraj mi wielbłąd padł
po setkach mil w pustyniach —
dzisiaj śmierć stąpa w ślad
hardego Beduina.

Próżno ostatkiem sił
do życia się wyrwać...
Głowa upada w pył...
O, Allah... już... przybywam..!

E. Sz.

W ARABSKIEJ SZKOLE

Zwiedzając arabskie miasteczko Chapiya, natknąłem się przypadkowo na szkołę ludową. Po wejściu na podwórze, z trudem odszukałem wśród mnóstwa krzykliwych Arabiątek jedyne europejczyka, dyrektora szkoły. Reszta zespołu nauczycielskiego — to Arabowie.

Była właśnie duża pauza, hałasem i wrzaskiem mocno przypominająca pauzy w naszych szkołach.

Długi, ostry głos gwizdka dyrektora oznaczał koniec przerwy, ale rozbawione bachorki arabskie mało sobie z tego robiły. Za czwartym czy piątym gwizdkiem na podwórku zapanowała



SZKOŁA ARABSKA

względna cisza. Uczniowie oderwani od zabawy, poustawiali się parami przed drzwiami do swych klas. Następny sygnał — a sprawnie, jak stado owieczek — pomaszerowali do sal wykładowych.

Uprzejmy dyrektor szkoły oprowadzał mnie po wszystkich klasach.

Komiczny widok przedstawia klasa arabska. Wszyscy uczniowie wraz z nauczycielem, ubrani w białe, długie bur-



UCZNIOWIE

nusy (rodzaj peleryny, zarzuconej przez ramię) z nakrytymi głowami. Jedne dzieci w niskich, drugie w wysokich fezach z wisiorkiem — a to zależnie, czy ich rodzice należą do postępowych, czy też do konserwatystów. Po wej-



UCZENNICA

ściu do klasy, uczniowie po przywitaniu nas przez powstanie, rozpoczynali popisy z odpowiadania na stawiane im pytania. Tyle z tego zrozumiałem, jakbym był na kazaniu... chińskim. W najstarszej klasie jeden z uczniów arabskich popisał się przede mną recytacją wierszyka La Fontaina. Śmieszny jest dla ucha akcent francuski u Araba.

Dziewczynki uczą się w osobnych klasach, na pauzach też się nie spotykają z chłopcami.

Dzieci, śpieszące z pobliskich oaz do szkoły, najczęściej mają ze sobą zamiast książek — dzbanek wody, niesiony na głowie.

Ocet



TRZEJ MĘŻOWIE

Kalif Bagdadu słynął szeroko w świecie z mądrości i sprawiedliwości. Trzej uczeni mężowie postanowili udać się do Bagdadu i przekonać o tem naocznie.

Po drodze jeden z nich zauważył:

— Towarzysze, tą drogą stąpał wielbłąd ślepy na jedno oko i bez przednich zębów.

— Tak, to prawda. Z jednej strony garbu wisiała pszenica, z drugiej — miód — dodał drugi.

— Na wielbłądzie jechało dziecko — dodał trzeci.

Po pewnym czasie podróżnicy spostrzegli biegnącego za nimi człowieka. Dogoniwszy ich, zapytał, czy nie widzieli po drodze zbłąkanego wielbłąda.

— Ślepego na jedno oko i bez przednich zębów? — zapytał pierwszy.

— Tak.

— Obladowanego z jednego boku pszenicą, z drugiego miodem? — zapytał drugi.

— Tak.

— Na którym jechało dziecko? — zapytał trzeci.

— Tak.

Człowiek zaczął ich błagać, aby powiedzieli mu, którą drogą szedł wielbłąd.

Ale wszyscy trzej jednogłośnie odpowiedzieli, że wielbłąda nie widzieli. Jednak człowiek nie uwierzył im, wziął ich za złodziei i zwrócił się do kalifa ze skargą na nich.

Mówił kalifowi:

— Ludzie ci dokładnie opisali mego wielbłąda i wiedzą, jaki niósł ładunek, ale jednocześnie twierdzą, że wcale go nie widzieli.

— Skąd wiecie o wszystkim tak





dokładnie, jeżeli nie widzieliście wielbłąda? — zapytał ich kalif.

— To, że wielbłąd był ślepy na jedno oko i nie miał przednich zębów, poznałem, gdyż rwał trawę tylko z jednej strony drogi i to same wierzchołki, nie tknąwszy nawet środka — odpowiedział pierwszy.

— Że z jednej strony garbu wisiała pszenica, z drugiej miód, poznałem po tem, że po jednej stronie drogi skakały ptaki, po drugiej siedziały mu-
chy — odpowiedział drugi.

— Poznałem, że na wielbłądzie je-chało dziecko, gdyż w miejscu, gdzie zsiadało z wielbłąda, widoczne były ślady nóg. Takie małe stopy ma tylko dziecko — odpowiedział trzeci.

Kalifa w podziw wprawiła mądrość tych ludzi i kazał na wieczór zaprosić ich do pałacu na ucztę i szczerze ich nagrodził. Właściciel wielbłąda wrócił do domu, smutnie opuściwszy głowę.

Ze zbioru „Chamow-Chotow”
Srwandcjana.

Tłumaczył Korwacz.

RADA MARABUTA

Na przedmieściu Mekki żył sobie pewien ubogi człowiek, imieniem Ali Ben-Jussuf. Utrzymywał się on ze sprzedaży małych karteczek, na których wypisywał pięknem pismem „sury” Koranu.

Dawniej wiodło się doskonale Ale-mu, bo każdy pielgrzym, przybywają-cy do Mekki, kupował kilka takich karteczek, aby je zawiesić sobie i swo-

im krewnym na szyi, jako obronę przed wszelkiem nieszczęściem. Ale ostatnio pobożność upadła i pielgrzy-mów przybywało coraz mniej, pisarzy „sur” zaś mnożyło się coraz więcej. Ali musiał się wynieść z dużego domu do małej izdebki, gdzie z trudem mie-ścił się ze swoją wielką rodziną. By-ło tam tak ciasno, że nie można się wprost było poruszyć, a panował taki



MODLITWA NA PUSTYNI

hałas, że Ali nie mógł zupełnie skupić się i zabrać do pisania.

Toteż Ali przestał prawie pracować i ciągle wspominał tylko dawne, dobre czasy, kiedy to miał spokój, wygodę i bogactwo. Wreszcie powiedział sam do siebie:

— Na Allaha, tak dłużej być nie może! Pójdę do Marabuta z Groty, niech zrobi jaki cud, albo przynajmniej da mi dobrą radę.

Mekka niedarmo jest świętem miastem: pełno w niej uczonych znawców Koranu — „imamów”, ubogich, ale bogobojnych zakonników — „derwiszów”, a nawet świętych mędrców — „mara-

butów”. Ale najbardziej poważany i ceniony był marabut, mieszkający w grocie pod miastem i stąd zwany poprostu Marabutem z Groty, albo El-Sumi, co znaczy „Uśmiechnięty”, ponieważ zawsze był pogodny i życzliwy dla ludzi.

Ali zastał „Uśmiechniętego”, siedzącego przed grotą i rozmyślającego o czymś z uśmiechem.

— Niech cię Allah ma w swej opiece, czcigodny! — powitał go nabożnie Ali.

— Niech i o tobie nie zapomni przy tem! — odpowiedział mu El-Sumi. — Cóż cię do mnie sprowadza?

— Bieda, czcigodny! — odparł Ali. — Dawniej wiodło mi się doskonale i o tem teraz ciągle myślę w swojej biedzie. Porównuję moje życie obecne z dawnym i nic mi się robić nie chce. Miałem przecie dywany i ozdobne tace, jadłem baraninę z roźdzynkami, miałem cztery osły i wielbłąda, a mieszkiałem w domu, który miał cztery izby i podwórzec z fontanną. A teraz mam tylko jednego starego osła, jeden podarty dywanik do modlitwy, jem suche placki pieczone



PRZEWODNIK KARAWANY

na węglach, a co najgorsze, mieszkam z całą moją wielką rodziną w jednej maleńkiej izdebce. Mam ośmioro dzieci, które ciągle hałasują, mam żonę, matkę, trzy ciotki, dwie babki i jedną teściową, które się ciągle swarzą między sobą tak, że nie mogą napisać spokojnie ani jednej „sury”. Zrób jaki cud dla mnie, albo przynajmniej poradz mi, co zrobić, bo wiem, że twoje rady zawsze dobrze skutkują.

El-Sumi słuchał Alego i nie przestawał się uśmiechać. Potem pogłodził się po długiej, siwej brodzie i spytał:

— Czy znasz jakiego żebraka?

— Żebraka? — zdziwił się Ali. — Dawniej znałem ich tylko stąd, że dawałem im czasem jałmużnę... Ale teraz — owszem: znam jednego żebraka, który mieszka ze swą rodziną w starym, łatanym namiocie, niedaleko ode mnie. Nawet rozmawiamy ze sobą od czasu do czasu...

— Weź go z całą jego rodziną do swojej izdebki! — powiedział El-Sumi z uśmiechem.

Alemu zdawało się, że się przesłyszał:

— Jakto, czcigodny? — zawołał. —



ARAB

Mówiłem ci przecie, że w mojej izdebce jest za ciasno nawet dla naszej rodziny!

— Weź go do siebie! — powtórzył El-Sumi. — I przyjdź do mnie za tydzień.

Wcale nie podobała się Alemu ta rada, ale wiedział, że El-Sumi jest mądrzejszy od niego, więc posłuchał go. Kiedy jednak przyszedł za tydzień do groty marabuta, trzymał się za głowę i jęczał:

— Oj, czcigodny! Ja chyba oszaleję! Ów żebrak sprowadził się z sied-



PRZED NAMIOTEM



ODPOCZYNEK KARAWANY

miorgiem dzieci, ze swojemi ciotkami i babkami, a wszystko to wrzeszczy, kłóci się i gniecie w mojej jednej izdebce tak, że nie mogę napisać ani jednej litery. Radź mi, co mam robić, bo nie wytrzymam!

— Zdawało mi się, że wspominałeś coś o osle, którego posiadasz? — spytał „Uśmiechnięty”.

— Tak, czcigodny: mam osła, ale co ma osioł do mojego kłopotu?

— Weź tego osła do izby! — powiedział spokojnie El-Sumi.

— Cooo? — wrzasnął Ali. — Osła do izby? Do tej zapchanej, ciasnej nory? Przecież wtedy poruszyć się w niej nie będzie można!

— Weź osła do izby i przyjdź do mnie za tydzień! — powtórzył marabut.

Ali, zupełnie zgnębiony, powlókł się do domu, ale po pewnym namyśle postanowił i tym razem posłuchać marabuta, skoro już poddał się jego kierownictwu w swojej biedzie. Kiedy jednak przyszedł po tygodniu do groty, nie mógł już mówić, tylko zaszeptał cicho:

— Czcigodny! Zdaje się, że już oszalałem! W głowie nie mam ani jednej myśli, tylko hałas, jak na jarmarku! Nie spałem cały tydzień, bo nie było miejsca; nie pisałem, bo nie było

chwili ciszy i nie jadłem, bo kobiety swarzyły się, zamiast gotować. Nadszedł kres mojej wytrzymałości... Radź coś, czcigodny, bo powieszę się na pierwszej palmie, która mi się nawinie!

„Uśmiechnięty” poglądził brodę i rzekł:

— A teraz wyrzuc z izby osła i każ się wynieść żebrakowi pod jego namiot!



BEDUIN



ARABOWIE IDĄ NA MODLITWĘ

Ali zerwał się z miejsca, jak szlachetny rumak i podnosząc klęby kuru, pognął ku domowi.

Na drugi dzień zato przyszedł do stojnie i spokojnie do groty marabuta, z koszyczkiem daktyli w ręku i pokłoniwszy się nisko, zawołał:

— Niech ci Allah zapłaci, czcigodny, za twoje rady! Gdybyś wiedział, jak u mnie jest teraz przestronno i spo-

kojnie! Mogę doskonale pisać po sto „sur” dziennie i już zarabiam znacznie więcej. Okazuje się, że ta moja izdebka jest jednak wcale miła...

„Uśmiechnięty” pogładził się po brodzie, pokiwał głową i rzekł:

— Tak, tak! Człowiek nie wie, co ma i nie wie, czego nie ma. Dlatego bywa czasem nieszczęśliwy.

Jerzy Ostrowski

W MECZECIE

Stąpamy po dywanach.
Nie trzeba mącić ciszy.
Jest tutaj tak dostojna,
że sięga do serc głębi...

Niczego się nie widzi,
nikogo się nie słyszy.
Zgóry sfrunęła ku nam
para białych gołębi...

Są, niby białe duchy,
łączące dusze z Bogiem.
Niema Go tu, a jednak...
wydaje się być z nami...

Widzi Go stary Turek,
skulony tuż za progiem —
i łaskę chce wyżebrać
niskimi pokłonami...

Alina Kwiecińska





A R A B

Mal. Henry Jarguier

ROZUM I UCZUCIE

Pewnego razu rozum prowadził spór z uczuciem. Uczucie twierdziło, że ludzie żyją dla niego, rozum upierał się, że jest odwrotnie. Aby przekonać się, kto ma słuszość, postanowili w przyszłości działać zupełnie niezależnie od siebie i nie wtrącać jedno do spraw

drugiego. Umowę wypróbowali na pewnym chłopie.

Chłop ten, według swego zwyczaju, wziął rano sochę i udał się w pole. Ledwo zaczął pracę, gdy socha utkwili w brózdzie. Nachyliwszy się, spostrzegł dzban, napęczniony złotem.

— Co robić? — pomyślał. — Za tyle skarbów mogę dokonać wielkich rzeczy, mogę się wybić w świecie.

Ale z drugiej strony przyszło mu do głowy:

— Co się stanie, jeżeli o skarbie dowiedzą się złodzieje i przyjdą po niego? Jeśli będę się opierał — zabiją mnie.

Tak rozmyślając, zauważył przechodzącego drogą sędziego tego kraju.

— Oddam złoto sędziemu, a sam będę dalej pracował — postanowił chłop i pędem puściwszy się za sędzią, sprowadził go na swoje pole.

Ale w tej chwili wrócił mu rozum. Opanowawszy się, chłop prędko przykrył złoto i powiedział do sędziego:

— Aga ¹⁾, jesteś sędzią i mądrym człowiekiem, oceń, który z moich dwóch byków jest lepszy?

Sędzia, usłyszawszy te słowa, rozgniewał się i poszedł. Wraz z sędzią porzucił chłopą i rozum. Chłop znowu się zawahał.

— Szkoda, że nie oddałem tego złota, co robić z nim teraz, gdzie je trzymać?

Porzuciwszy pracę, biadał tak do wieczora, aż spostrzegł sędziego, wracającego do domu.

Podbiegł do niego i zaczął błagać i zaklinać, aby jeszcze raz przyszedł do niego na pole.

Sędzia pomyślał, że jednak coś tkwi w tem wszystkim, i poszedł.

Rozum znowu wrócił do chłopą, który powiedział sędziemu:



¹⁾ Aga — pan.



— Nie gniewaj się, spojrzysz na moje pole i powiedz, wczoraj, czy dzisiaj większy dział uprawilem?

Sędzia pomyślał, że chłop zwarjował, roześmiał się i poszedł. Ale razem z nim znów porzucił chłopą rozum — i chłop siadł na skraju pola.

— Boże, Boże, — z wściekłości tracąc panowanie nad sobą, jęczał chłop — dlaczego nie oddałem złota! Gdzie i jak je ukryję?

Niewiele myśląc, garnek ze złotem schował do worka, w którym przynoszono mu obiad, worek zarzucił na ramię i poszedł do domu.

— Żono — zawołał — co żywiej przywiąż byki, daj im siana i uprzątnij sochę. Ja idę do sędziego i zaraz wrócę.

Ale żona zauważyła, że mąż ukrywa coś w worku i postanowiła dowiedzieć się, co to jest.

Odpowiedziała więc:

— Nie babska sprawa wiązać byki, mnie obchodzą krowy i owce. Sam zwiąż byki i idź, dokąd chcesz.

Podczas kiedy mąż, rzuciwszy worek na ziemię, zaganiał byki do obory i przywiązywał je, żona zdążyła wyjąć z worka dzban ze złotem, a na jego miejsce włożyła kamień tej samej wielkości.

Chłop wyszedł z obory, spieszenie porwał worek i pobiegł prosto do sędziego.

— Przyniosłem dla ciebie podarunek, bierz go — powiedział do sędziego.

Kiedy rozwiązali węzeł, chłop osłupiał.

Sędzia rozgniewał się. Podejrzewał, że coś jest tu niewyporządku. Kazał chłopą zamknąć w więzieniu, pilnować go i opowiedzieć sobie dokładnie, co chłop będzie robił lub mówił.

W więzieniu chłop zaczął coś mruzczyć pod nosem i pokazywać rękami:

— Dzbaneł był taki a taki, objętość taka, dziób taki, dno takie, a złota tyle i tyle.

Pilnujący go ludzie opowiedzieli sędziemu:

— Tak a tak, macha rękoma, jakby mierzył coś i mruczy niezrozumiale.

Sędzia kazał przywołać chłopą do siebie.

— Powiedz, coś mierzył rękoma?

Ale rozum natychmiast powrócił chłopu, który odpowiedział sędziemu:

— Mierzyłem ciebie. Głowę masz taką, szyję taką, brzuch taki, brodę taką i pytałem siebie, kto jest większy, ty, czy nasz brodaty kozioł?

Oburzony sędzia kazał chłopą powiesić.

Poprowadzili chłopą, nałożyli mu pętlę i już mieli ją zacisnąć. Ale chłop zaczął błagać:

— Nie wieszajcie mnie, powiem sędziemu całą prawdę.

Sprowadzili chłopą do sędziego:

— Mów prawdę, coś mierzył w więzieniu?

— Cała prawda to to, że gdyby nie zdjęto mi pętlę z szyi, zginąłbym. Nie więcej nie wiem.

Sędzia wybuchnął śmiechem i uwolnił chłopą.

Te przejścia biednego chłopą wywołały skruczę rozumu i uczucia.

Postanowiły od tej chwili działać zawsze wspólnie, albowiem tylko rozum z uczuciem, uczucie z rozumem czynią człowieka człowiekiem.

Ze zbioru „Chamow-Chotow”

Srwandcjana.

Tłumaczył Korwacz

BADIKAN I CHAN-BOCHU

Był sobie król. Miał czterdziestu synów. Każdego z nich, gdy doszedł pewnego wieku, wysyłał król w dalekie kraje, aby wykazał swe męstwo i odwagą wywalczył piękną żonę. Tak postąpił z trzydziestoma dziewięcioma synami, ale bajka przemilcza, jakich dokonali czynów. Wreszcie przyszła kolej na ostatniego, imieniem Badikan.

Ojciec dał mu swój miecz, łuk i strzały i zaopatrzywszy w pieniądze, pobłogosławił na drogę. Królewicz dosiadł konia i z liczną służbą puścił się w drogę.

Długo wędrował po obcych krajach. Zwiedził jasne i ciemne państwo, spotkał Goga-Magoga, Aznawura i różnych drapieżników. Z wszystkimi walczył, wszystkich zwyciężył. Ale z licznej jego służby nie uratował się nikt. Wreszcie, straciwszy wszystko, co posiadał, dojechał do pewnego przewspaniałego, niewidzianego zamku. Zamek ten zbudowany był w niepamiętnych czasach z ogromnych brył kamienia i z żelaza.

Badikan obszedł go z wszystkich stron, ale nie spotkał żywego ducha.

— Mój Boże — pomyślał — dokąd się dostałem!



Kiedy nastał wieczór, ku zamkowi zaczął się posuwać stalowy potwór w czapie z miedzi i w butach z miedzi. Łuk i strzały miał z krzepkiego żelaza, a za każdym jego stąpieniem drżała ziemia.

Zbliżywszy się do zamku, potwór wciągnął powietrze nosem i powiedział:

— Czuję człowieka. Hej! kto tam jest, wyjdź, bo schwycę i na proch zetnę!

Badikan widział, że nie pozostaje mu nic lepszego, jak pokazać się po-



tworowi. Wszak jego miecz i strzały nie mogą nawet zadrasnąć olbrzyma.

— Ktoś ty taki, że ośmieliłeś się zjawić w tych miejscach? Czyżbyś nie słyszał imienia Chana-Bochu?

— Przeciwnie, słyszałem i chcę się z nim zmierzyć. Jestem Badikan, przeszedłem cały świat, walczyłem z potworami i demonami, wszystkich zwyciężyłem.

Chan-Bochu kichnął, aż Badikan potoczył się o milę, i mówił:

— Nie bój się, nic ci nie zrobię. Widzę, że jesteś odważny. A mieczyk i strzałki może ci się przydadzą na polowaniu. Zostań tutaj i służ mi. Ale pamiętaj, gdybyś chciał zemknąć, albo nie usłuchał moich rozkazów, zabiję cię.



Badikan chcąc nie chcąc musiał się zgodzić na służbę u potwora.

Pewnego razu Chan-Bochu zwrócił się do Badikana:

— Widzisz, przyjacielu, nie grozi mi śmierć ni choroby, ale serce moje zżera troska. Król wschodni ma córkę, piękniejszą niż słońce. Siedem razy próbowałem ją porwać, zawsze na próżno. Zdobądź ją dla mnie, dam ci wszystko, o czym zamarysz. Bierz konie i broń i jedź po nią.

Badikan zgodził się i pojechał po



królewską córkę. Dojechawszy do miasta, w którym panował jej ojciec, przybrał miejscowy strój i wstąpił do pracy u ogrodnika królewskiego.

Królowna z swego okna spostrzegła Badikana, który w wolnym od pracy czasie wystroił się i spacerował po ogrodzie. Przypadł jej do serca. Śnił się jej po nocach. I ona śniła się jemu.

Nie myśląc wiele, królowna posłała służebną, aby powiedziała Badikanowi o jej miłości. Badikan odpowiedział, że jest królewiczem, dokonał wielu czynów, a usłyszawszy o piękności królowny, przyjechał, aby ją zobaczyć. Zobaczywszy, pokochał i oczekuje jej rozkazów.

Miasto było ściśle strzeżone, ponieważ król spodziewał się najazdu. W mieście tem kobiety walczyły na równi z mężczyznami. Królowna dała znać Badikanowi, aby wyszedł za miasto, dokąd i ona przyjdzie, jeśli na cdwagę, niech ją porwie.

Królowna wyszła za miasto, nad brzeg morza, otoczona czterdziestoma służebnymi. W tej chwili Badikan podjechał konno, porwał ją, posadził za sobą na koniu i umknął, jak orzeł.

Szybkość napadu stropiła służebne. Zanim król dowiedział się o wszystkim i uzbroił wojsko dla uwolnienia królowny, Badikan ukrył ją w bezpiecznym miejscu. Wystąpił przeciw armji królewskiej i zniósł ją. Potem wrócił do królowny i razem z nią pomknął na koniu, przepłynął morze i dotarł do zamku Chana-Bochu.

— Przez całą drogę nie rzekłeś do mnie ani słowa. Chcę być twoją ofiarą, ale powiedz, czy dla siebie mnie porwałś? — skarżyła się królowna.

— Dałem słowo Chanowi-Bochu, że cię przywiozę. Dla niego zdobyłem ciebie.

— Dla ciebie tylko dałam się porwać. Jeśli rzucisz mnie, utopię się w morzu, skoczę w przepaść. Ryby i zwierzęta będą ze mnie miały strawę. Wiedz jednak, że żywej nie dostanie mnie w swe ręce Chan-Bochu.

Zlitował się Badikan nad królowną i poprzysiągł uwolnić ją z rąk potwora i ożenić się z nią.

Tymczasem zjawił się Chan-Bochu, podziękował Badikanowi za przysługę i poprowadził królownę do pałacu. Obawiając się samobójstwa królowny, traktował ją bardzo łagodnie.

Tak żyli pewien czas. Ale królowna i Badikan nie przestawali myśleć, jak uwolnić się od Chana-Bochu. Zabicie potwora było niemożliwe, gdyż miecz i strzały nie tykały go, w ucieczce dogoniłby ich napewno.

Pewnego razu królowna zapytała Chana-Bochu:

— Powiedz mi, co robisz, aby uchronić swe życie i zdrowie, chociaż tylu wrogów czyha na nie? Jak ukrywasz swą duszę?

Chan-Bochu powiedział:

— O siedem dni drogi stąd wznosi się biała góra. Tam żyje niezwykły biały byk, który nie dopuszcza do siebie ani człowieka, ani byka. Co siedem dni wdrapuje się na wierzchołek góry i w źródle gasi swe pragnienie. Po siedmiu łykach wraca nadół. W brzuchu tego byka żyje biały lis, w brzuchu lisa jest szkatułka, w szkatułce żyje siedem ptaków. Te ptaki są moją duszą i tajemnicą mych siedmiu sił. Nie można byka zwyciężyć, ani lisa pojmać, ani szkatułki otworzyć, ani ptaków złapać. Jeśli zabiją byka, lis ucieknie. Jeśli złapią lisa, nie otworzą szkatułki, jeśli otworzą szkatułkę, wyfruną ptaki.

Królowna wydobywszy tajemnicę, opowiedziała o niej Badikanowi i dała:

— Ja zrobiłam swoje, jeśli jesteś mężczyzną, uczyni, co do ciebie należy.

Przeczekawszy pewien czas, Badikan poprosił Chana-Bochu, żeby pozwolił mu wyjechać na miesiąc na polowanie w dalekie kraje.

Chan-Bochu pozwolił.

Badikan pojechał do derwiszów i wróżbitów i zapytał:

— Jak zwyciężyć nietykalnego potwora?

— Jeżeli to jest mężczyzna, zapomocą kobiety, jeżeli zwierzę — winem — odpowiedzieli.

Badikan zwiózł siedem baryłek siedmioletniego wina i wylał do białego

źródła na białej górze, a sam w pobliżu wykopał jamę i ukrył się w niej.

Wkrótce spostrzegł, że biały byk zbliżył się, poczuwszy zapach wina, podskoczył do wysokości siedmiu topoli i z rykiem odszedł.

Zmożony pragnieniem, przyszedł do źródła następnego dnia, upił się winem i straciwszy przytomność, runął na ziemię.

Badikan podbiegł co tchu i jednym uderzeniem miecza odciął mu łeb. W tym czasie Chan-Bochu polował. Jak tylko łeb byka potoczył się, Chanowi głowa opadła na piersi i cały zadrżał.

— Przekleństwo mi, że zdradziłem tajemnicę kobiecie... Białego byka zabił Badikan. Zresztą wszystko jedno, jeśli nie ja, niech nikt jej nie zdobędzie.

Wypowiedziawszy te słowa, pobiegł do siebie, aby zabić królową.

Tymczasem Badikan rozciął bykowi brzuch, wyjął stamtąd oszalałego lisa i zabił go. Chan-Bochu utracił przytomność i krew polała mu się z nosa.

Badikan zanurzył szkatułkę w gorącej krwi byka i otworzył ją.

Chanowi-Bochu polała się gęsta krew z uszu i ust.

Nateżając ostatek sił, dotarł do zamku i zaryczał, a od ryku jego ziemia zadrżała.

Usłyszała królowa groźny ryk i, oszalała ze strachu, wybiegła na dach, aby skoczyć w przepaść, a nie dostać się w ręce potwora.

Badikan zdusił dwa ptaki i ugięły się kolana pod Chanem.

Badikan zdusił znowu dwa ptaki — opadły ręce Chana-Bochu.

Złapał Badikan ostatniego ptaka za nóżkę i strzaskał o kamień — Chan-Bochu uderzył głową o skałę. Mózg wypłynął mu, z ust i nosa buchnął dym. Powoli skamieniał cały i pozostał nieruchomy.

Badikan na wronym koniu pojechał do zamku.

Zeszła do niego królowa i objęła za szyję.

Ze zbioru: „Chamow-Chotow”
Srwandejana.

Tłumaczył Korwacz.

DZIEWCZYNA ARABSKA

Kręci się w gwałnym porcie
w południe, wieczór, zrana,
jękliwie wykrzykuje,
przez wszystkich potrącana...

Zachwala towar w koszu —
melony, czy słodczyce,
szybko i chytrze piastry
w zbrukanej dłoni liczy.

Plecy jej znają ciężar
i nogi utrudzenie.

Za mętne wody portu
posyła wdał spojrzenie...

Przechodząc mimo ludzkich
walk, kłótni i pośpiechu,
zębami połyakuje
i wdzięczy się w uśmiechu.

Alina Kwiecińska



KSIAŻĘ PRZEZNACZONY

Żył raz król, który martwił się bardzo, że nie ma syna. Długo błagał bogów, aż wreszcie urodził się chłopiec. Zjawily się wtedy przy jego kołysce wróżki Hatory, i przepowiedziały, że dziecko zginie albo przez krokodyla, albo przez węża, albo przez psa. Przestraszony król zbudował piękny zamek obronny, zaopatrzył go we wszystkie dostatki i tam trzymał syna pod opieką wiernych sług, zdala od ludzi i zwierząt. Chłopiec jednak nudził się. Zobaczył raz psa, który biegł gościńcem.

— Co to? — spytał.

— To pies — odpowiedzieli słudzy.

— Pragnę mieć takiego psa — powiedział królewicz.

Więc za zgodą króla sprowadzono do zamku młodego, żywego psa, który stał się nieodłącznym towarzyszem chłopca.

Mijały lata. Królewicz dorósł i błagał swojego ojca, by mu pozwolił wyruszyć w świat, zaznać przygód.

— Jeśli przeznaczenie musi się spełnić, to spełni się, nawet gdybym całe życie się ukrywał — mówił — a ja jestem młody i chcę żyć na swobodzie.

Pokiwał głową stary król i przyznał rację synowi.

Królewicz wziął psa i ruszył na poszukiwanie przygód. Przybył do Syrii, do tej właśnie części, którą nazywano wtedy Naharanną. Trafił do wspaniałego pałacu, którego 70 okien oddalonych było o 70 łokci od ziemi i dowiedział się, że w jednym z tych okien siedzi piękna księżniczka, o której rękę ubiegają się wszyscy książęta. Ale ojciec jej, książę Naharanny, postawił ciężki warunek: ten tylko ożeni się z księżniczką, kto wzbije się w powietrze i dosięgnie w locie jej okna.

Królewicz powiedział księżętom, że jest synem żołnierza, że musiał uciekać z domu, bo macocha nienawidziła go i prześladowała. Więc przyrzadzili mu kąpiel, namaścili pachnidłami, dali mu jeść, a potem pozwolili ubiegać się o rękę księżniczki. Królewicz pomodlił się do bogów i ci użyczyli mu czarodziejskiej siły, dzięki której wzbil się w powietrze i doleciał do okien księżniczki.

Książę Naharanny, dowiedziawszy się, że zwycięzca jest synem prostego żołnierza, nie chciał mu początkowo





dać córki za żonę, ale księżniczka zapowiedziała, że tylko jego chce poślubić, inaczej umrze z rozpacz. Więc odbyło się huczne wesele, młodzi dostali dom, ziemię, bydło, rycerzy i byli szczęśliwi.

Po pewnym czasie opowiedział król lewicz żonie o swoim przeznaczeniu. Ta przestraszyła się bardzo i chciała wyrzucić psa, ale król lewicz nie pozwolił, bo kochał swego przyjaciela.

Raz wyszedł z rzeki krokodyl i wszedł do miasta. Zamknęto go w domu olbrzyma, który go stale pilnował. Pewnej nocy, gdy król lewicz spał na ziemi, na macie, wypełził z kąta jadowity wąż i chciał go ugryźć. Ale żona czuwała. Dała mleka węzowi, który ociążał, nawpół stracił przytomność; wtedy przebiła go włócznią. Potem obudziła męża i powiedziała:

— Widzisz, przeznaczenie dało mi



w ręce węża. Zabiłam go i więcej ci nie grozi.

I znów płynęły spokojne dni. Królewicz często chodził z psem na polowanie. Raz zeszedł nisko nad rzekę, pies gonił daleko zwierzęta. Wtedy wypęłzył krokodyl i wciągnął królewicza do domu olbrzyma. Ten ochronił go, ale krokodyl powiedział:

— Zabij go, bo inaczej umrzesz!

— Nie mogę zabić swego obrońcy.

— Zabij go; namysł się do wieczora, bo inaczej nie przeżyjesz nocy.

Królewicz nie chciał zabijać.

I wkrótce nadeszła jego żona, którą przyprowadził pies, przebiła włócznią krokodyla, właśnie, gdy otworzył paszczę, a olbrzym dobił go.

Od tej pory nie puszczała męża samego i chodziła z nim na polowania. Gdy wybrali się raz na kilka dni, na-

padli państwo sąsiedni książęta, zazdrośni, że przybłęda zdobył księżniczkę i postanowili go zabić. Olbrzym uprzedził małżonków i ci ukryli się w pieczarze, aby ich nie znaleziono. Gdy koło pieczary przejeżdżali zbrojni najeźdźcy, wypadł pies i zaczął szczekać. A oni poznali psa, znaleźli królewicza i jego żonę i zabili oboje.

Zjawiły się wtedy Hatory.

— Dopełniło się przeznaczenie, zginął przez psa — rzekły. — Ale całe życie był odważny i uczciwy, a jego żona również, więc wróćcie im życie, o, bogowie!

I wskrzesili bogowie królewicza i księżniczkę, on opowiedział jej, kim jest naprawdę, wrócili do Naharanny, a po śmierci starego księcia rządili długo i sprawiedliwie.

E. Wolpertówna

== TARG ARABSKI ==

Alep, jak prawie każde miasto na Wschodzie, składa się z dwóch części: z dzielnicy starej, arabskiej i nowej, europejskiej.

W dawnej dzielnicy przez dzień,

a także przez część wieczoru, codzień odbywa się targ. Są całe ulice - sklepy, zwane sukami.

Ze składów towary wynosi się na zewnątrz.



W MIASTECZKU ARABSKIM



KUPIEC ARABSKI

Sprzedają je pierwsi w mieście kupcy, bardzo energicznie zachęcając do kupowania. Gdy przechodzień nie interesuje się ich skarbami, chwytają za poły. Najwięcej jest handlarzy dywanów i mebli, wykładanych masą perłową. Na ladach leżą stosy naszyjników, zausznic i bransolet. Bez tych klejnotów Arabka uważa, że nie jest ubrana. Stoją wielkie stoje z pachnidłami, również koniecznymi dla uzupełnienia kobiecego stroju. Wonne olejki wlewa się do flakoników, mających niekiedy kształt serca. Są one zrobione z kolorowego szkła, mocno i dobrze zakorkowane. Bo w tem gorącu zapach łatwo się ulatnia.

Bardzo bogate są składy jedwabi różnych gatunków. Jedne są ciężkie, przetykane złotem, inne lekkie i przezroczyste. Mahometanki czynią z nich zasłony na twarz.

Nigdzie niema tak pięknych, jak tu,

wyrobów ze skóry. Szczególnie zwracają uwagę poduszki z safjanu. Malowane są w różne desenie. Na bazarze sprzedają broń arabską. Miecze ze stali damasceńskiej są giętke, ostre, prze-szywają jak strzała.



TARG



NA ULICY

Arabja znana jest także z wyrobów szklanych. Z cienkiego, zielonkawego szkła dawniej robiono lampki oliwne, teraz też klosze na lampy elektryczne.

Bogactwa całego kraju z różnych stron przywożą do miasta karawany. Po piaskach powoli, z powagą ciągną wielbłądy. Kroczą sennie, choć latają

nad nimi aeroplany i pociąg szybko pruje pustynię. Na codzień wielbłądy obciążone ciężarami, w dzień święta są wspaniałe strojne. Beduini wkładają na nie złożone czapaki, nabijane metalowymi blaszkami, cugle z barwnej skóry, tak, że szare zwierzę staje się kolorowe.

Na targu gwar jest nie do opisania. Ze wszystkich tu i tam wędrujących handlarzy najgłośniej wykrzykuje wysoki Arab w pasiastej szacie i brudnym zawoju na głowie. W koszu ma zielone pistacje. Zachwala swój towar, niechętnie patrząc na ludzi kupujących daktyle. Leżą ich całe stosy, wydając słodki, mdły zapach.

Drze się na całe gardło:

— Fistik djedid! Fistik djedid!

Natręctwu jego dorównać może tylko najstarszy z licznych bardzo żebraków. Głośno dopomina się jałmużny, a pod nosem mruczy:

— Gdyby na świecie był tylko jeden potrzebujący — (niby ja) — to miałby skórę tak błyszczącą, jak saffan!

Aura Wyleżyńska

PRZYSŁOWIA ARABSKIE

Arabowie posiadają bogatą literaturę przysłowiową. Arab Meidani ułożył zbiór, który zawiera aż 600 przysłów arabskich. Oto niektóre przysłowia arabskie:

Chmura nie szkodzi szczekaniu psa.
Słabszy niż echo.

To leży na grzbiecie kija (to znaczy, że jest łatwe do otrzymania).

Kij tchórza jest długi.

Nie bądź słodki aż do połknięcia, ani gorzki aż do wypłucia.

Lepiej jest źle się na koniu trzymać, niż pięknie spadać.

Strzeż się, żeby ci twój język nie uciał szyi.

Sen rozprasza gniew.

. Lekarstwo na gniew — milczenie.

Lepiej być psem swobodnym, niż lwem związanym.

Świat jest zwierciadłem; patrz w nie, a ono ci odbije twój obraz.

Milczenie jest najlepszą odpowiedzią głupcom.

Czerp wiedzę choćby nawet z pyska krowy.

Nie powierzaj kotowi kluczków od gołębnika.

Każdy kogut pieje najgłośniejsze na własnej grzędzie.

Czyń dobro i wrzucaj do morza (t. j. nie spodziewaj się wdzięczności).



Wygwizdów zbliżył się ciekawie do kosza, gdzie leżały ciemno czerwone, okrągłe owoce z małymi listkami przy ogonku.

— Co to może być? — oblizał się Wacek. — Morele czy co?

— Ale, morele! To już prędzej granaty... — odezwał się Julek, biorąc do ręki owoc. — Hm, skórka trochę twarda... ale wewnątrz... patrzcie! działki takie, jak w pomarańczy...

Za przykładem Julka, reszta czwórki także zabrała się do jedzenia.

— Mm! — mruczał Wacek, gładząc się po brzuszku. — Coś jakby poziomki, jak wiśnie...

— Prędzej jak lody śmietankowe... na ciepło! — zauważył Julek.

— Grunt, że dobre — powiedział Mietek i cały Wygwizdów przyznał mu rację.

Znacznie później dowiedzieli się chłopcy, że owoc ten to Mangustan. Ale to, że nie znali jego nazwy, nie przeszkadzało im rozkoszować się wspaniałym smakiem.

W jakiś czas potem za drzwiami rozległy się błagalne głosy:



— Batarą - guru! Batarą - guru!

— Lud prosi, żeby bożkowie ukazali mu się! — powiedział Julek.

— Niech pierwszy wyjdzie Breloczek, a my za nim.

Tak też zrobili. Tłum się cofnął i pochylił pokornie.

— No, już dobrze, dobrze, szlachetni panowie! — mówił półgłosem Julek. — Nie gniewam się i obiecuję nie rzucać piorunów.

— Zwiedzimy teraz wyspę — powiedział Mietek. — Ale dla bezpieczeństwa udamy się po dwóch: ja z Wackiem, a Julek z Breloczkiem. W razie niebezpieczeństwa, damy sobie znak gwizdkiem. Nie można jeszcze dowierzać naszym „poddanym”.

Potem Mietek wziął jednego z wojowników i postawił go przy drzwiach, pokazując mu na migi, żeby nikogo nie wpuszczał. Dziki skłonił głowę na znak, że zrozumiał.

— Trzeba będzie nauczyć się jak najprędzej ich języka — powiedział Mietek. — A teraz objedziemy wyspę i każdy sobie zauważy, jakie są braki, które należałoby poprawić. Wieczorem się zejdziemy i naradzimy. Skoro już zostaliśmy bożkami — musimy się opiekować naszymi „wiernymi”.

Wieczorem Wygwizdów spotkał się znowu w „alun - alunie” i zaczęły się narady.

— Więc jednak to jest wyspa! — westchnął Wacek.

— A tyś myślał?...

— Miałem jeszcze nadzieję, że to jaki przylądek Indyj albo Australji.

— A ja to nawet wolę, że to wyspa — powiedział Julek. — Pomyślcie tylko: przecież to zupełnie prawdziwa przygoda! Prawie taka sama,

jak „Podróż bez pieniędzy”, albo „Balonem nad Afryką”.

— Tak, jest to bezwątpienia wyspa — powiedział Mietek. — Widzieliśmy to z Wacławem z jednej górki. Na północy i północno - zachodzie jest kilka gór, bodaj czy nie wulkanów, na wschodzie — las bardzo gęsty, na południowym zachodzie łąki, zarośla i trochę drzew, a środkiem płynie rzeka. Miejsce, gdzie wydostaliśmy się na brzeg jest położone na południu. Jest to spora zatoka, dobra na przystań. W środku wyspy leży wieś, zwrócona bramą w kierunku zatoki...

— Musimy koniecznie ponazywać te miejsca! — zawołał Julek. — Na przykład: wulkan — Kraków, zatoka Wiślana, rzeka — Nowa Narew...

— Ja myślę — powiedział Mietek — że trzeba dowiedzieć się, jak tubylcy nazywają te miejsca, bo co ma wspólnego np. Kraków z wulkanem? I tak przecież wiem, że to polska kolonja. Tymczasem zobaczenie mapkę, którą naszkicowałem...

— Co mapę? Pokaż!

— Mapę naszej kolonji?

Mietek rozłożył kawałek papieru, na którym był szkic.

Przeglądali się długo rysunkowi. Widać było gniazda górskie i doliny. Morze wchodziło w łąd licznymi zatoczkami.

— Myślę, że sztandar najlepiej będzie umieścić na jednej z gór — ciągnął dalej Mietek. — Może na tej, która jest najwięcej na południe, zgoda?

— Zgoda!

— No, teraz opowiadajmy co kto zauważył, a jutro zrana zaczniemy naukę języka, dowiemy się jak się nazywa wyspa i zawiesimy sztandar.

— Hm, od czego tu zacząć — mruzczał Julek. — Lud mój jest niechlujny, brudny i plugawy. Obywatele tutejsi nie myją się pod żadnym pozorem, studnie mają płytkie i brudne, toteż w każdej chacie leży ktoś chory na dysenterję. Zato lud mój żuje ciągle jakieś liście, które nazywa *betel*, albo *sirih*, od czego ma buzię brązowo-czerwoną. No i to chyba wszystko, co można o moim ludzie powiedzieć.

— No, Wacek! Teraz ty.

— Ja zauważyłem... hm!... że tu jest strasznie dużo jadowitych węzów, tak, że niebezpiecznie jest chodzić.

— Mnie się rzuciło w oczy — odezwał się Mietek — że tu nic nie uprawiają, tylko jedzą owoce z dzikich drzew...

— Aha! — wtrącił Julek. — Na jedną palmę, zdaje się kokosową, mówią „klapa”.

— Właśnie — ciągnął Mietek — myślę, że jak jest pora deszczowa, to ci ludzie przymierają głodem, bo nie robią zapasów i wtedy jest rzeczywistość — klapa. Dróg też wcale nie mają i w ciągu naszego spaceru ciągle musieli torować sobie przejście. To chyba wszystko... A co ty powiesz, Breloczku?

— Ja myślę, że oni są bardzo dobrzy, ci dzicy — zaczął Breloczek. — Nie widać wcale, żeby się kłócili, albo mówili sobie jakie nieprzyjemne rzeczy. Także nie kradną wcale i wszystko jest u nich otwarte, tylko...

— Co tylko?

— Tylko, że nie umieją czytać i pisać i koniecznie trzeba ich tego nauczyć, bo inaczej nie będą mogli czytać książek.

— No, Breloczku, z książkami toś niebardzo w porę się wybrał — uśmiechnął się Mietek — bo tymczasem oprócz atlasu i kieszonkowych kalendarzy, to i my nie mamy żadnych książek, ale owszem, można ich nauczyć czytać i pisać.

— Jabym... — zaciął się Breloczek — jabym się tem zajął...

— Doskonale! — parsknął Julek. — Breloczek dostaje dziś nominację na ministra oświaty.

— Tak, ministra oświaty! — potwierdził poważnie Mietek. — A my podzielimy się pracą w taki sposób: ja będę ministrem rolnictwa i robót publicznych, Julek ministrem zdrowia i higieny, a Wacek — ministrem wojny... z węzami.

— Niech żyje węzowy minister! — zawołał Julek.

— Niech żyje gabinet ministrów wyspy... wyspy... — zająknął się Wacek i roześmiał się. — Przecież my dotąd jeszcze nie wiemy jak się nazywa nasza wyspa!

— I wogóle oprócz słowa „alun alun”, nie znamy wcale języka naszego ludu — powiedział Julek.

— Jutro weźmiemy się do nauki — powiedział Mietek — a tymczasem spać!

— Uuff! — przeciągnął się Wacek. — Z jaką przyjemnością wypiłbym teraz szklankę kakao, potem umył się prawdziwym mydłem w prawdziwej miednicy i położył się do prawdziwego łóżka!

— No, to długo na to jeszcze poczekasz! — mruzczał Julek, ściągając trzewiki. — Ale co do mydła, to naprawdę będzie krucho. Jak ten Robinson robił mydło, nie pamiętacie?

— O ile mi się zdaje, to w „Robinsonie” nie się nie mówi o mydle...

— Dlaboga! Jakież on musiał być brudny!

— A może znalazł mydło na tym rozbitym okręcie?

— Może być... Tylko na to nie można liczyć: okręty nie rozbijają się tak na zawołanie.

— Ha, będziemy musieli sami zrobić mydło — powiedział Mietek.

— Tak, ale wiesz z czego się robi i jak? — spytał Julek.

— Zdaje mi się, że z tłuszczu i ługu.

— Tłuszcz to jeszcze łatwiej dostać, czy ze zwierzyny czy wycisnąć z jakich nasion, ale skąd wziąć ługu? — kłopotał się Julek. — Żeby tak można pójść do sklepiku i za złoty groszy sześć kupić ługu, to wszystko byłoby dobrze, ale tak...

Chłopcy zamyślili się trochę, a po chwili Wacek powiedział:

— Znudziły mi się coprawda owoce. Zjadłbym z dziką przyjemnością zwyczajnego, razowego chleba.

— Ba, chleba! — bąknął Julek. — Na to trzeba uprawiać zboże...

— Możebyśmy znaleźli jakie zboże dziko rosnące?

— Wątpię... Zdaje mi się, że w tych krajach nie rośnie żyto, ani pszenica. Najwyżej ryż.

— A z ryżu nie można chleba zrobić?

— Z ryżu? Nie słyszałem o chlebie z ryżu... Ale czy ja wiem? może i udałoby się?

— Świece przydałyby się także, albo lampy — odezwał się Breloczek. — Jak się chce wieczorem coś zapisać, albo przeczytać, to nie można.

— Ba, przeczytać! — ziewnął Julek. — Co jabym dał teraz za ciekawą książkę. Ale gorzej, że niedługo skończą się nam notesy i nie będziemy mieli gdzie zapisywać słów tego języka.

— Racja — powiedział Mietek. — Nie będziemy nawet mieli na czym wypisać kalendarza.

— Robinson wycinał sobie kalendarz na drzewie — powiedział Wacek.

— Ale zapomnieliśmy o pisaniu dziennika naszej wyprawy! — zawołał Julek, siadając na posłaniu. — Każdy okręt, każda wyprawa muszą prowadzić taki dziennik czyli kronikę. Koniecznie musimy zdobyć papier!

— Ba, ale z czego?

— Papier robi się z gałganów...

— Skąd ich weźmiesz?

— ...albo z takiej rośliny „papyrus”.

— Niewiadomo czy tu rośnie!

— Albo zrobimy pergamin.

— A pergamin z czego się robi?

— Zdaje mi się, że ze skóry...

— Moi kochani! — powiedział Mietek. — Widzę, że tymczasem nie uda nam się zrobić nic z tych rzeczy. Weźmy się tymczasem do prostszych prac, na przykład zbudujmy sobie większy dom i zróbmy proste meble.

— Słusznie! — zawołał Julek. — Zetniemy kilka drzew... Ba, ale przecież nie mamy siekier!

— A może tubylcy mają? — spytał Mietek.

— Nie. Nie widziałem u nich żelaza.

— Masz tobie... Co tu robić? A możebyśmy spróbowali znaleźć żelazo i wykuć narzędzia?... Tylko...

— Co, tylko?

— Tylko, zdaje mi się, że żelazo trzeba naprzód przetopić... Ale jak to się robi — nie wiem.

— Uuu! — zaryczał ze złością Julek. — Czy my wogóle co wiemy? Chcemy uczyć nasz lud, a pewno nie potrafimy tego co oni. Oni naprzykład robią sobie łodzie, łuki i dzidy, a wątpię, żebyśmy to potrafili. Nie-

ma co, tylko ja wracam do Europy i zaczynam się wszystkiego na nowo uczyć, a dopiero potem tu przyjadę. Proszę zaraz zawracać i odwieźć mnie do Warszawy, na ulicę Traugutta Nr. 4, drugie piętro.

— A nie zapomnij przywieźć ze sobą narzędzi! — roześmiał się Wacek.

C. d. n.

Jerzy Ostrowski



W bieżącym tygodniu radjowym usłyszycie następujące audycje:

We wtorek, 3 grudnia, od godz. 12 min. 15 do godz. 12 min. 30 obrazek słuchowiskowy, przeznaczony dla młodszych dzieci p. t.: „Zabawki Tomka” który napisała Janina Porazińska. Czy wiecie, że Tomek myśli już o gwiazdkowych podarunkach dla biednych dzieci? Może i Wy za jego przykładem wcześniej przygotujecie różne upominki, aby uradować niemi inne dzieci.

Na środę, 4 grudnia, od godz. 16.00 do godz. 16 min. 20 rozgłośnia lwowska przygotowała dla starszych dzieci nowe „Zagadki muzyczne”.

We czwartek, 5 grudnia, przypada dzień urodzin ukochanego Marszałka, i dlatego usłyszycie opowiadanie z Jego dzieciennych lat pod tytułem: „Polak nie płacze”. Wygłosi je Stary Pan Doktor, jak zwykle, od godz. 16.00 do godz. 16 min. 15.

Piątkowy program, 6 grudnia, od godz. 12 min. 15 do godz. 12 min. 40 wypełni wdzięczne słuchowisko o świę-

tym Mikołaju, który dorocznym zwyczajem odwiedza dzieci. Tytuł słuchowiska: „Święty Mikołaj chodzi po świecie”.

A od godz. 16 min. 45 do godz. 17.00 będzie zajmujące opowiadanie dla starszych dzieci p. t. „Własna książka”. Posłuchajcie, jak dziadek i chłopiec marzą o tem, aby mieć książkę. Może po tej audycji będziecie swoje książki więcej szanowali i kochali.

W sobotę, 7 grudnia, od godz. 18.00 do godz. 18 min. 30 fala lwowska przyniesie Wam wesołe słuchowisko p. t.: „O szewczykowej duszyczce”.

W niedzielę, 8 grudnia, od godz. 16.00 do godz. 16 min. 15 starsze dzieci usłyszają zajmujące opowiadanie p. t.: „Na dalekim zachodzie”, pióra p. Giżyckiego. Dowiedzie się, jakie przygody miał Stach, syn polskiego emigranta w górach Ameryki.

I w poniedziałek, 9 grudnia, od godziny 18 min. 30 do godz. 18 min. 40 „Skrzyneczka radjowa” omówi listy starszych i młodszych radjosłuchaczy.

LISTY OD REDAKCJI

Drodzy Czytelnicy.

Już macie plan do opracowania monografii wsi, miasta lub okolicy. Jak widzicie, jest on bardzo szczegółowy, a to dlatego, aby czytelnicy z różnych dzielnic Polski mieli wybór najciekaw-

szych tematów do opracowania monografii swojej okolicy.

Więc dzieci ze Śląska dokładnie opiszą wygląd miast lub osiedli, życie gospodarcze, wytwórczość, prace w kopalniach i fabrykach, oraz wszystko to,

co jest charakterystyczne dla danej okolicy.

Płomyk przypomina, że konkurs ogłoszony był na pracę zbiorową, to znaczy, iż może w niej brać udział cała szkoła, z wyjątkiem klas: I, II i III.

Najpierw należy zrobić podział pracy według klas, następnie każda klasa ułoży plan do opracowania przydzielonych tematów. Plan należy układać tak, aby prace monograficzne miały miejsce, o ile to możliwe, w każdym z wykładanych przedmiotów w klasie. Więc na lekcjach rachunków możecie opracować wykresy ludności według wyznania, narodowości lub zawodów, obliczać obszary lasów, łąk, wód (w % %) i t. d.

Na lekcjach rysunków przygotujecie wzory haftów na kołnierzach, bluz-

kach, fartuchach noszonych przez ludność tej okolicy.

Wreszcie na lekcjach robót sporządźcie modele zagród, kukielki w strojach ludowych i wiele innych.

Pożądane są także fotografie i widokówki, przedstawiające ważniejsze obiekty w Waszej wsi lub mieście.

Ponieważ dokładne opracowanie monografii wymaga wspólnego wysiłku i dłuższego czasu, więc termin nadsyłania prac został wyznaczony na dzień 1-go czerwca 1936 roku.

Za najlepsze prace Redakcja Płomyka przeznacza duże nagrody. A jakie? Podamy w następnym tygodniu.

A pamiętajcie, że Płomyk zawsze chętnie udzieli Wam wyjaśnień i wskazówek, a także odpowie na wszelkie zapytania.

ZGON ARTYSTY - MUZYKA

W niedzielę, 10 listopada, umarł w Warszawie kompozytor, prof. Władysław Macura. Pochowano go w Cieszyńcu na Śląsku, bo zmarły muzyk stamtąd pochodził. Już po śmierci powrócił do rodzinnego miasta, a spracowane i stęsknione Jego serce otuliła ziemia śląska.

W tej tęsknocie do ziemi rodzinnej zbierał artysta ludowe pieśni śląskie i innych uczył te pieśni kochać. Tworzył też i inne dzieła muzyczne. Ale najwięcej napisał muzyki do audycji dla dzieci i młodzieży. Cały szereg lat pracował w „Polskim Radjo” i często przed audycjami zapowiadano: „ilustracja muzyczna prof. Władysława Macury”. Władysław Macura ułożył muzykę do przeszło stu audycji. A to, co napisał, było zawsze piękne i starannie opracowane. Bo on nietylko kochał muzykę, ale i uczył się jej na uniwersytetach wiedeńskim i krakowskim.

Ciężka praca artysty, praca twórcza wyczerpała jego serce i okryła mu głowę przedwczesną siwizną. Umarł nieomal przy pracy, bo na dwa dni przed śmiercią brał jeszcze udział w audycji.

Teraz go już niema, zostały tylko



jego pieśni. Bo to już tak jest, że artysta nigdy całkiem nie umiera. Żyje jego sztuka i żyje pamięć o nim.

W głębokim żalu zamyśleni nad nieśmiertelnością pieśni, pochylamy głowy nad grobem Władysława Macury, przyjaciela dzieci.

H. Ł.

NIE KAŻDY SNADNIE TO ODGADNIE

REBUS



DZIWNA SZARADA

W zwykłej szaradzie najczęściej
dzieli się całość na części,
lecz ta niezwykła szarada
łatwa, lecz trudniej się składa.
Trzy samogłoski w treści
z jedną spółgłoską mieści.
Spółgłoska miejsce ma trzecie
(ostatnia jest w alfabecie),
przed nią i za nią stoi litera,
która alfabet każdy otwiera.
Całość — to ogród na pustyni,
w nim — Beduini.

ZAGADKA 1

Niby zwysoka, a niby zniska
księżyc na niebie, ale nie błyska.

ZAGADKA 2

Na moje garby
wkładają skarby,
a pić skąpo dają,
bo sami nie mają.

ZAGADKA 3

Z nazwą krainy
klei się słowo krótkie,
tem słowem nieraz,
tkwiąc przy papierach,
kleisz je z dobrym skutkiem.

ZAGADKA 4

Powiedz-że mi, niech usłyszę,
co ty po arabsku piszesz,
każdego dnia —
i ty, i ja?

ZAGADKA 5

Rosnę na skraju pustyni
zielono i rozłożyście.
Cień znajdują pielgrzymi
pod moim liściem.

ROZWIĄZANIA Z N-RU 13:

Rebus: powstanie listopadowe. Za-
gadka — Napoleon. Wizytówki — gre-
nadjer, dragon, gwardzista, szwoleżer,
kirasjer. Zadanie — oddział liczniejszy.
Układanka:

NAPOLEON
MAR ENGO
WAGRAM
J FNA
CHŁOPICKI
DWERNICKI
SKRZYŃECKI

Szarada 1 — Ostrołęka, 2 — Stoczek.

WARUNKI PRENUMERATY:

W prenumeracie pojedynczej:		W prenumeracie zbiorowej (od 10 egz. wzwyż):	
miesięcznie	zł. 1.10	miesięcznie	zł. —.84
półrocznie	„ 5.—	półrocznie	„ 4.—
rocznie	„ 10.—	rocznie	„ 8.—

POJEDYŃCZY NUMER „PŁOMYKA” KOSZTUJE 30 gr.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: WARSZAWA, UL. SMULIKOWSKIEGO 1.
(wejście od ul. Dobrej Nr. 6). Nr. telefonu administracji 2.69-49, redakcji — 6.30-28.

Konto czekowe P. K. O.: „Związek Nauczycielstwa Polskiego — Zarząd Główny —
Warszawa” — Numer konta 435.

PRENUMERATORÓW WARSZAWSKICH OBSŁUGUJE BIURO ADMINISTRACJI PRZY
ULICY ŚWIĘTOKRZYSKIEJ 18, TEL. 5.22-18. BIURO CZYNNE OD G. 9-ej DO 7-ej W.

Redaktorzy: M. KOTARBIŃSKI i ST. MACHOWSKI. Kierownik artystyczny — K. PIENIĄŻEK
Wydawca w imieniu Związku Nauczycielstwa Polskiego: — STANISŁAW MACHOWSKI.

Druk. Rotograw. „Nowoczesnej Spółki Wydawniczej, S. A.”, Warszawa

